MAURYCY SZYMEL

POWRÓT DO DOMU

WARSZAWA 1931

MAURYCY SZYMEL

Powrót do domu

WARSZAWA
1931

SKŁAD GŁÓWNY:
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Powrót do domu

Powrót do domu.

Wracam do domu;
żadna się oczom moim furtka nie otworzy-
wracam do domu—
nademną księżyc—bławe oko boże—

w powietrzu cicha woń kolorem zawieszona
srebrna i zielona
płynie do gwiazd—

jak cicho, jak mrocznie kołysze się las—

Wracam do domu—
niczyja nie uściśnie dłoń—mej dłoni
i nikt mojemu sercu nie pójdzie naprzeciw—
tylko brzoza liściem srebrnym zadzwoni,
tylko ptak spóźniony w mroku przeleci.

Nikomu smutków moich nie powierzę, nikomu;
sam powracam do pustego domu,
sam przy oknie stanę,
otwarty do gwiazd,
gdy pod niebem w smugi mlecznych dróg
pomalowanem
będzie dziwnie płakał śmieszny i dziecinny las.

Powiedz że wszystko jest jak było,
że wszystko inne śniło mi się tylko, śniło—
powiedz, że w kuchni znów dzwonią talerze—
ia wszystkiemu uwierzę, ja wszystkiemu uwierzę.

Pachnie rosół złoty i zielony.
Zbliż się. Niech cię widzę, niech przy sobie czuję
Taki już jestem zmęczony—
mamo, a co dziś na wieczerzę ugotujesz?

Powiedz mi, że wszystko jest jak było,
że wszystko inne śniło mi się tylko-śniło—

Ale nikomu nie powiem, nikomu,
że niema już mojego domu.

Notatki autobiograficzne.

Sny rozwieszone na sznurach w półciemnym pokoju.
Wieczory fantastyczne pełne niepokoju.

Kuchnia nakrapiana farbą w dziwacznych kolorach.
To przecież wszystko było. Niedawno.
Prawie że wczoraj.

Dzbanki, konewki napełnione mrokiem,
Matczyne, ciche słowa, przyciszone kroki.

Ciemna, chrapliwa mowa; rynny, deszcz, ściany
ociekające wodą:
Oto niedawna i smutna, sercu najdroższa młodość.

Dobrze było w kwietniu, gdy paschy
zbliżało się święto.
Trawnik pachniał niebem i miętą.

Na piecu kwaśniał barszcz w czarnym,
brzuchatym garnku.
Pościel czerwona wietrzyła się na ganku.

Z najdalszej ulicy przychodził biały, spocony piekarz
W dużym, płowym koszu przynosił mace — i czekał.

Uśmiechał się dziwnie. Był pochylony i siwy.
Mama dawała mu zwykle napiwek.

Słońce leżało w pokoju drgającym, jasnym kwadratem.
Wtedy poczułem jaką woń i słodycz ma
słowo: k w i a t y.

Ale nikt nie przynosił do domu bzu ani konwalji.
Tyle było kłopotów. Wszyscy pracowali.

Nikt nie umiał wymawiać słowa: z i e m i a —
Tylko bratu młodszemu na imię było Jeremjasz.

Siostry miały grube, czerwone palce.
Chodziły na wieczorki i tańczyły walca.

Nie umiały łagodnie mnie głaskać.
Wychodziły bardzo wcześnie i późno wracały z miasta

Wieczorami śpiewały smutne, polskie piosenki.
Przerabiały znoszone sukienki.

Ojciec późno wracał do domu. Gwizdał arję z „Toski".
Nie widział, że mama płacze, że gnębią ją troski.

Ojciec kochał panią z pierwszego piętra.
Nie modlił się w sobotę, nie obchodził święta.

Pani miała zielone oczy. Malowała obrazy.
Codziennie chodził do niej. Długo siedzieli razem.

W piątki, gdy na ulicy zamykano korzenny kramik,
Modliła się matka moja nad małemi,
pokrzywionemi świecami.

W letnie sobotnie zmierzchy pustoszała izba,
Wszyscy siedzieli na przyzbach.

Przyczesane, umyte dzieci bawiły się na trawie.
Na progu drzemał kot i chudy, garbaty krawiec.

W sobotę plotkowała cała uliczka.
Wtedy dowiedziałem się, że pani z pierwszego piętra
jest katoliczką.

Czasem babcia przychodziła rankiem.
Przynosiła miętowe cukierki i obwarzanki.

Mówiła śmiesznie po polsku: to można, tego nie można.
Babcia była bardzo pobożna.

Śmiała się z siostry, że krótką sukienkę nosi.
Babcia była już stara. Przyjechała do nas z Rosji.

Pamiętam jak czytałem jej mój pierwszy wiersz.
Babcia kiwała głową i śmiesznie wymawiała literę „r".

Pozatem była surowa i zła.
Kochał ją tylko Jeremiasz — i ja.

Matko, w źrenicach twoich zamknęłaś młodość moją.
Wszystko zaczęło się dla mnie w twych oczach
i w naszym pokoju.

W świat poszły siostry moje, w świat poszedł
brat mój Jeremiasz,
Gdy oczy twoje nakryła przebaczająca ziemia.

Sobota.

Sobotnich świateł cicha nadeszła już pora,
A wciąż nad nami wieczór zgiełkliwy łomotał.
Coraz częściej spóźniamy się w piątkowe wieczory,
Choć czeka w świec poblasku staruszka — sobota.

Nie pomaga legenda, co nas szeptem woła,
Szeptem słów, w których pachnie nasza stara ziemia,
Na stole jest już ryba, jest wino, jest kołacz,
Tylko nas, zagubionych, przy tym stole — niema.

My gonimy po mieście, z życia — nieprzytomni,
Trwoniąc spokój świętości, ciszę sobót — tracąc;
Więc skryje matka oczy zmarszczonemi dłońmi
I gorzko nad drżącemi świecami — zapłacze.

Jakże ją pocieszyć, gdy na białym obrusie
Podaje nam rosół drżącemi rękoma;
Moglibyśmy chyba ją małą — udusić
W naszych mocnych, młodością nabrzmiałych
ramionach

Więc powiemy jej tylko „że takie już życie“,
że zgiełk zziajanych ulic nas światłem omotał —
Lecz teraz całujemy w pokornym zachwycie
Jej oczy, w których płonie najświętsza Sobota —

Moja siostra.

Pojechała moja siostra mała,
Tak jak sióstr i braci moich tylu,
Pojechała, nawet nie płakała
Gdzieś w daleki świat, aż — do Galilu.

Zostawiła astry. (Była jesień.)
Szliśmy drogą, spięci z sobą blisko.
Duży, czarny pociąg syczy, rwie się —
Siostra wzięła z sobą Księgę Jiskor.

— Przyszedł list, cudownie — ciepły, jasny —
Pachniał słońcem winnic i kolonij —
„O jak dobrze żyć na ziemi własnej“ —
Napisałem, że tęsknimy do Niej.

Potem było cicho i inaczej;
Wieczorami (bywa) przy ognisku —
Siwiuteńka mama cicho płacze,
Kiedy czytam na głos „Księgę Jiskor“.

A za rok napisał ktoś daleki —
(W liście wieść szlochała dzika, czarna.),
Że „przy zakładaniu nowej sztreki“
Moja mała siostra — umarła.

A za rok mój młodszy brat Jeremjasz
Uciekł w noc lipcową, srebrno-białą,
By pracować tam — na naszej ziemi,
Gdzie umarła moja siostra mała.

Połóż mi dobre swe ręce na włosach

Połóż mi dobre swe ręce na włosach;
potargaj je zabawnie;
odezwij się szarym swym głosem —
już nie strząsnę z siebie twych rąk jak dawniej.

Może się uśmiechnę, może odpowiem wesoło,
może znów będzie jasno w pokoju —
już nigdy nie zostawię rosołu,
który przyrządziłaś ręką swoją.

Wszystko zjem. Powiem, że bardzo smakował —
i nigdzie nie odejdę. Pozostanę z tobą.
widzisz, ustawiam w tym wierszu najprostsze słowa,
byle móc mówić z tobą —

Bo chciałbym cię przeprosić za szorstkie,
nieuważne pożegnania,
i za to, żem dla innych ust wzgardził
twemi pocałunkami —
i za to, że nigdy nie wypowiem mojego kochania —
twojemi słowami.

Matka w mroku.

Matko, dumająca w ciemnym pokoju,
matko, o oczach wiecznie zapłakanych,
podaj mi ręce twoje
ukochane, niezapomniane.

Mamo, pochylona nad igłą do późnej nocy,
mamo, która nigdy nie widziałaś gwiazd,
popatrz mi mamo w gniewne oczy
i w myśli moich splątany las.

Gdybym wiedział, że jesteś jeszcze w tym
ciemnym pokoju,
że można jeszcze do ciebie biec,
przypadłbym do dłoni twojej
różowej światłem sobotnich świec.

Bo tak mi teraz ciebie trzeba,
tyle mnie trudnych męczy spraw;
ja już nie jestem, jak ciche niebo,
ja — w mgłach szumiący, czarny staw.

Nie wiem, czybyś mnie teraz poznała,
Nie wiem czybyś mnie teraz kochała —
mamo, która nic mi już więcej nie powiesz,
mamo — wspomnienie najkrwawsze,
mamo pożegnana — nazawsze.

Obudź mnie rano

Zbudź mnie rano,
jak kiedyś, gdy byłem jeszcze maleńki;
zbudź mnie mamo,
nieśmiałem dotknięciem swej ręki;
Nie bój się; nie będę na ciebie krzyczał.
Posłusznie się ubiorę
i słońcem wyściełoną ulicą
pójdę do pracy.

Wrócę wczesnym wieczorem.
Zostanę w domu.
Już nie powiesz, że izba jest pusta,
bo niczyje mnie od ciebie nie oderwą usta,
nie urzekną oczy zielone.

W twoje się wpatrzę oczy,
w twoje się wsłucham słowa,
do kolan się twoich pochyli
moja zmęczona głowa.

Bo widzisz: teraz wszystko mi wolno:
i późno wracać,
i obiad nietknięty zostawiać na stole,
ale cóż, kiedy wolność samotna — boli.
Jak bardzo chciałbym znów wrócić
do twojej serdecznej niewoli,
jak bardzo męczy włóczęga po obcych,
dalekich ulicach,
gdy wiem, że nikt już zato nie będzie na mnie krzyczał,
że na gorące me czoło uważnej nie złożysz ręki
i że nie zbudzisz mnie rano,
jak kiedyś,
gdy byłem jeszcze maleńki.

Śmierć mojej matki

Smutno jest gonić, gonić sił ostatkiem
I nie dogonić trzydziestu lat —
Kogoż obchodzi śmierć mojej matki,
Gdy cień Lindbergha na ocean padł. —

To przecież nie jest pożar w San Francisco —
Krwawa rewolta i trzęsienie ziemi;
W kurzawie blasków, iskier i pocisków
To jest malutkie, cichutkie zdarzenie.

Maleńka męka, łzy i — cztery deski. —
(Cmentarz jest w marcu chory na gruźlicę)
W pierwsze dni wiosny, wiotkie i niebieskie
Rzuca się grudki, których nikt nie liczy —

Jedno tylko serce jest obłędnym świadkiem;
Dla dwojga oczu cały umarł świat;
Kogoż obchodzi śmierć mojej matki,
Śmierć biednych, cichych trzydziestu lat —

Przyjdzie Eljasz prorok.

Mamo, od świateł i śpiewu zanosi się izba nasza:
Dziś razem będziem czekali na przyjście
proroka Eljasza.
Ja wiem, że tej nocy wiosennej, gdy szronem
się ziskrzy ulica,
Przylgnie do szyb Eljasz — prorok
śmiejącą się twarzą księżyca —

Bo w noc tą, gdy przaśny chleb i gorycz na stole leży,
Tobie się matko, oddaję; we wszystko,
we wszystko wierzę.

Twej pomarszczonej dłoni pobożność złóż mi na oczy—
Przez ciebie i dla ciebie dzieją się cuda tej nocy.

Dlatego tak bardzo tęskniłem do przaśnic
na białym stole:
A teraz dobrze mi z tobą i nic mnie, nic już nie boli.

Izbę wypełnia dawność daleka i niedaleka —
Dzieciństwo wraca do oczu prostego,
smutnego człowieka.

Nie dziw się mamo, mym słowom i mowę
mi wybacz zawiłą —
Ja chciałem tylko powiedzieć, że źle mi bez ciebie było.

I mojej czułości się nie dziw. I temu,
że wracam do ciebie—
Ciebie mam jedną na ziemi, jak jedno słońce—na niebie

Ty jedna możesz zrozumieć niepokój błędnej gonitwy—
Ty jedna zbawić mnie możesz czystością
swojej modlitwy.

Więc pozwól ustom zmęczonym odpocząć
na twojej dłoni.
— Jak bardzo pachnie pascha winem
hebrajskich kolonij — —

Jak słodko mamo, wymawiasz słowa
pożółkłej Hagady —
Ja już nie pójdę od ciebie ja nigdy stąd nie wyjadę.

Bo choć cię dawno już niema choć dawno
po łzach po żałobie,
Tym najsmutniejszym mym wierszem
nazawsze zostanę przy tobie,

Nazawsze będę wierzył w twe oczy, w modlitwy nasze
I w cud samotnej tej nocy — w przyjście
proroka Eljasza.

W niebo wkwitły gałęzie...

Kobieta.

To ty zgasiłaś słońce na chłopięcem podwórzu
Zielonemi oczami, wiejącemi krokami —
Jednym twym uśmiechem, jedną małą różą
Zapaliłaś mi niebo nieznanemi gwiazdami.

To ty kazałaś potem czekać nadaremnie
W ciężkie, parne wieczory na najdalszych ulicach —
Przez ciebie musiałem wracać potajemnie,
Mając oczy wilgotne i pełne księżyca.

Kradłem siostrom pieniądze — dla ciebie—na wstążki,
Martwiłem dobre oczy niespokojnej matki —
Dla ciebie, dla ciebie sprzedawałem książki,
Kupowane przez ojca za grosze ostatnie.

A dziś przybliżasz niebo i oddalasz ziemię;
To ciebie ciągle tracę, znajduję i szukam.
Deptczesz mi po słowach stopami białemi,
Nasycasz moje wiersze zapachem swych sukien.

I w każdej rzeczy jesteś utajona
A uciec trudno, gdy jeden jest ląd —
Dlatego muszę wracać niewołany, wpatrzony
W trzepocące ptaki twoich jasnych rąk —

Wiosna.

Chłonę, chłonę — —
sosny i oczy twoje zielone —
raduje mnie wszystko i niepokoi;
szum wiatru i szelest sukni twojej —
W zalewie słońca w potopie świateł
pachną twe ręce i kwiaty —

Nie odchodź, zostań, zostań dziś u mnie —
postaram się mówić prosto i rozumnie.
Więc — po pierwsze:
radości nie można układać we wiersze —
po drugie:
słowa — to nie ciepłe pozłociste smugi
na ścianach
a po trzecie,
że... że wiosna jest na świecie
od samego rana —
i że wszystko chcę wykrzyczeć mową moją
i nie dziw się, że drzewa rozkwitłe wpadły do pokoju,
i że nad słońcem zawisła tarcza księżyca,
i że konwalje sprzedają na ulicach,
i że muszę od ciebie odejść,
zanim słońce się stoczy do stawu
po krwawych promieniach —
bo pachną ogrody,
bo ty nic nie rozumiesz
i wierszy układać nie umiesz.
— Dowidzenia.

Przyjazd.

Zasapany pociąg staje na stacji —
Z wagonu wprost na przełaj — przez łąki — do lasu
Idziemy do nowego domu na kolację.
Nie spieszymy się wcale. Mamy dużo czasu.

Nad łąką wisi wieczór czerwonym obłokiem
I brzęczą mgły komarów — żywe złote chmury —
Zielonym tryska trawa pod stopami sokiem,
Gdy długą, prostą miedzą idziemy pod górę.

Odpocznijmy na chwilę i spójrzmy za siebie:
— Jak dobrze na przebytą już drogę spozierać! —
Zdaleka bieg pociągu znaczy się na niebie
Rdzawą smugą dymów podartych przez drzewa.

Pod niskim dachem...

Niski pułap dzwoni świerszczami nad głową —
Łóżko pachnie świeżo - wysuszonem sianem —
Przez otwarte okno — wonią akacjową
Płynie do pokoju ogród rozśpiewany.

Biały, wielki księżyc zaplątany w lipach,
Ćwiartkowany gałęźmi ciężkiemi od kwiatów,
Centkami się po ścianach bielonych rozsypał,
Odbijając cieniami liściastemi — lato.

Drzwi cicho otwarte, skrzypnęły w zawiasach:
Z framugi wzleciał motyl, znacząc lot swój — zcicha
Ze snu zagruchały gołębie z poddasza,
Zbudzone wdechem płuc moich i śpiewem słowika.

W niebo wkwitły gałęzie.

W niebo wkwitły gałęzie słodkie i złote.
Na gałęzi usiadło słońce złote.

Bażanty, pawie i wilgi zawisły rozwarte w powietrzu.
Czerwień migoce w powietrzu.

Rozwińmy się na na błoniach szerokiego nieba
skrzydłami.
Można być na niebie, nie będąc aniołami.

Słodycz słowików i słów.

Słodycz słowików i słów wymawianych po cichu.
Skrzypce w mroku.
Niebo poważnie się kłębi falami obłoków.

Połóż woń dłoni na oczy i usta.
Oddycham głęboko.
Ziemia zawisa księżycem wysoko... wysoko...

Lato.

Zanosi się las od śpiewu;
kobiety kwitną wśród drzew —
kobietom i drzewom
słońce przepala krew.

Krwią czerwoną i zieloną,
zapachem włosów i liści
szumią kobiety i drzewa
gorąco i uroczyście.

Wilgi wilgom patrzą w oczy zielenią;
płonące kobiety objęły dęby ramionami —
dęby kobiety, niebo i ziemię
las nakrywa zielonemi płomieniami.

Upał.

Bóg bije w brzmiący, skrzący gong,
W kąt rzuca starczą koronę,
Dzień ma tysiące, wrzących rąk
I ust gorących miljony.

Dzień jest, jak wielki, młody krzyk,
Jak szał, co nie wie o niczem;
Jak krwista dziewka jak jurny byk
Skacze, zatacza się — ryczy.

Do cieni przypadł złoty lęk,
Pożarnym tchem je roztopił;
Ktoś pijany słońcem z radości — pękł,
Jak koń w obłędnym galopie...

Pomyśl o złotych jabłkach.

Pomyśl o złotych jabłkach, kwitnących
na drzewach dalekich wysp
I że niebo spływa na ziemię granatowym wodospadem;
W noce szkarłatne płonie księżyc, jak srebrny dysk.
Pachnące, czarne kobiety mówią, że księżyc jest blady

A ja widziałem, że księżyc zawisł jak liść
I drżał w uścisku konarów, rozpostartych na niebie —
I do dziś nie wiem dokąd mam iść,
Abym nie spotkał ciebie.

Bo tego, że drzewa wsiąkają w noc głęboką,
Nigdy nie wypowiem, nigdy nie zrozumiem,
Bo zapatrzyłem się w gorącą, wiejącą wysokość
I płonę w chmur gwiaździstych poszumie,

Serenada.

Nocą szamocą się w mroku nabrzmiałe
słodyczą gałęzie
I widna jest droga na przełaj w srebrze wysokich traw.
Słuchaj, ja krzyczę, ja wołam, trzepocę,
jak ptak na uwięzi:
Wpuść mnie do siebie i zbaw.

Z twych małych dłoni chcę wypić ogrom
i słodycz tej nocy
U kolan pojąć i wchłonąć wszechmoc pachnących traw,
Zrozumieć, że las, mrok i księżyc — to twoje
tajemne oczy —
Wpuść mnie do siebie i zbaw.

I to, że dotyk twych warg — to wiatr
dziką wonią wezbrany
I rozkosz gorzka i topiel, którą połyska staw—
O, otwórz się nocą uściskiem tak długo,
tak długo czekanym —
Wpuść mnie do siebie i zbaw.

Ballada o dziewczynie, której nigdy nie widziałem.

Chodzi, chodzi po pokoju, spać nie daje—
tam nademną, na górze—
ciało słodkie od sukni odstaje,
cienka, miękka suknia przylega do ciała,
jak strasznie, jak gorąco pachną róże
i dziewczyna, której nie widziałem.

Zejdzie nocą, furtkę otworzy,
wejdzie biała w ogród migocący—
na mokrej ziemi usta położy,
od pocałunków czarne i gorące.

Zielone, srebrne ścieżki uwiodą
w gąszcz lepką od woni i miodu—
noc owinie ślizką słodyczą,
wpłynie do oczu srebrno-zieloną polewą,
zakrztusi pieśnią słowiczą,
poda w omdleniu—drzewom.

Drzewa wierzchołkami poniosą,
księżycowi cieniem zagrożą—
w słodkiem pomieszaniu świateł i włosów
wpadną do pokoju wiatrem wezbrane
i położą, położą, przedemną położą
dziwny owoc lata i nocy—

otwarte krwawe usta i zielone oczy—
a potem wsiąkną w mrok dostały
ciemną zawieruchą plam,
a ja zostanę sam
z tem ciałem—
z dziewczyną, której nigdy nie widziałem.

Do...

Nie wolno mi o tobie pisać słowami własnemi —
matka moja nie umiałaby wymówić twojego imienia—
chociaż wspólny spożywamy chleb na jednej ziemi,
nie wolno mi o tobie śpiewać słowami własnemi.

Nigdy nie pokochasz braci moich na smutnych ulicach,
nigdy nie zrozumiesz niespokojnej mowy moich sióstr—
gdybym cały smutek mój i miłość
w serce twoje wkrzyczał
jedną dasz odpowiedź: ciepły dotyk
twoich dziwnych ust.

Powiedz: jakie słowo, jaka siła zdoła cię
przybliżyć do mnie;
czemu mijasz domy nasze i unikasz naszych przyzb—
jedno wiem: że ponad nami pnie się cieniem
swym ogromnym
dumny, wielki, zimny krzyż.

Wiersz o miłości.

Na oczach moich połóż swe czarne spojrzenie;
Niech światła na jeziorach mych źrenic pogasną—
Pochyl się nademną włosami czarnemi,
Wonią mokrych gałęzi mnie zamrocz i zasnuj.

Jak dalekiem jest wszystko przez zapach
twych włosów,
Gdy się we krwi rozpływa drażniący niepokój —
Lato ust twoich wieje wśród fal twego głosu,
Twe piersi — para bladych, pachnących obłoków.

I niema żadnej zorzy, ni świtu na niebie,
Przed któremi by ciemność twych oczu odeszła —
Świat przychodzi do oczu mych tylko przez ciebie
I rozpływa się w ciszy szumiącego zmierzchu.

Do słowików i do motyli...

Niewiem na jakiej dolinie,
pod jakiem niebem różowem
opadnie cisza jak liść
na moją zmęczoną głowę.

Nie wiem na czyich kolanach
można o wszystkiem zapomnieć;
w mieście olbrzymieją wieczory
i staczają się w noce ogromne.

Do słowików i do motyli
powracam nocą zieloną;
niech mrok się nademną pochyli
żywicą i rosą słoną.

Niech ktoś podejdzie i powie,
że cicho, że dobrze, że spokój —
w mocnem ściśnieniu powiek
jest niebo pełne obłoków —

Przyjacielu, przyjdź dzisiaj do mnie
Przyjacielu — lesie daleki,
połóż się cieniem ogromnym —
na moje zmęczone powieki.

Rozmowa ze starym Eljaszem.

Śpią już zmęczone gołębie na krzywem, omszonem
poddaszu
I ciepły jest wieczór i słodki, jak kwiaty różówych lip.
Usiądźmy sobie na przyzbie, mój stary, smutny Eljaszu
I mówmy z sobą najprościej: jak z Żydem
zwyczajnym—Żyd.

Tak blisko przecież mieszkamy: ot prawie dom
za domem.
Więc nie patrz na mnie tak obco i nie mów
do mnie „pan"—
Wierz mi, że dobrze rozumiem twe oczy
mądrością zmęczone;
Wszak serca mamy te same i smutek mamy ten sam.

Ty dworskie mleko rozwozisz, aby nie umrzeć z głodu—
Ja muszę w obcej mowie śpiewać ten smutny wiersz—
Wiem: tobie lepiejby było plon własny zwozić
do stodół—
Mnie—śpiewać w naszym języku, abyś zrozumiał ty też.

Lecz przebacz dobry Eljaszu w mądrości twojej
głębokiej:
Nie zdołam już w innych słowach wyśpiewać
tego, co chcę,
Jak ty—nie zdołasz już odejść pod inne niebo wysokie,
By z własnych zwozić zagonów źniwne owoce swe.

*Więc zwierzam się tobie Eljaszu mową mych
ojców sepleniąc,
W ten słodki, najcichszy wieczór, w poufnem
schyleniu głów,
Że nigdy nie nazwę w mych wierszach matki
mojej imienia,
Bo nie pomieści się smutkiem w pogodzie
słowiańskich słów.*

*A pieśni które śpiewała budzą się we mnie nocą
I pieszczą mnie głosem dalekim i miękko kołyszą
mnie w śnie,
Lecz nigdy nie zdołam przywołać jej szarych,
najdroższych oczu
Mową, którą mówiła, którą kochała mnie—*

*Lecz dość już. Późno jest, bracie. Skończmy
rozmowę naszą.
Daj mi twą dłoń spracowaną i nie mów do
mnie „pan"—
Dobranoc dobry staruszku, dobranoc siwy Eljaszu—
Te same mamy serca i smutek mamy ten sam.*

Wspomnienie jesienne.

Nie wiem gdzie teraz jesteś; nie wiem
czy słyszysz mój śpiew —
O zmierzchu idę aleją mrących, gasnących drzew —

Strumień brunatnych liści rdzawym mnie
szumem osnuł —
Nie wiem pod jakim namiotem ułożysz się
nocy tej do snu:

Dalekie są twoje pola nieznana mi twoja strzecha —
Do kogo ty teraz mówisz, do kogo się
teraz uśmiechasz —

Ociekająca słońcem kołysze się brzoza i płonie —
Już nie pamiętam nawet w której mieszkasz kolonji.

Szumią wieczorne drzewa, liści czerwienią brocząc —
bliski wspomnieniom jest zmierzch,
który ma kolor twych oczu —

Bliskie są twoje słowa, choć dawno odpadły
od warg twych —
Otom cię znowu odnalazł ciepłą i czułą w tym parku—

I chociaż nie wiem gdzie jesteś, choć nie wiem
czy słyszysz mój śpiew—
— Idziemy razem—we dwoje—aleją gasnących drzew.

Dzień powszedni.

Nikt mnie nie zbudził do biura;
Biegnąc, upadłem ze schodów —
Dzień osowiały na chmurach
deszczem groził ogrodom.

W tramwajach nie było miejsca —
Goniła mnie strachem dziewiąta —
Na Wolskiej napadł mnie deszcz
I wiatrem zdarł mi kapelusz.

W fatalnym humorze był szef;
żółty i zły jak mandaryn;
W włochatej pięści zaciskał
niewinny szwajcarski zegarek.

Stenotypistkom — plotkarkom
upadły oczy na skrypta —
buchalter ocierał z karku
czerwoną chustką — pot.

A potem salda i konta
nie chciały się pogodzić:
szereg z szeregiem się splątał,
mazały się i zwodziły,
kłóciły się głośno na foljach,
gubiły się w indeksach,
aż zatopiła je plamą
biurowa melancholja.

Skok z trampoliny

Na palcach wprzód podana powietrzna i młoda,
Kołyszesz się w przeczuciu najsłodszych zamroczeń:
Za chwilę mgłą uroku zawiśnie nad wodą
Twój skok, odbity na tysiącach oczu.

W dumnem podniesieniu opalonych ramion
Śpi świst powietrza, które sobą przetniesz —
O, jakże dumie podobłocznej kłamią
Twoje wiotkie uda dziewiętnastoletnie!

W domu pewnie jesteś zwykłą sobie panną,
Która chodzi do biura, na spacer, do kina —
Dopiero śliska, drżąca trampolina
Czyni cię zachwytem, dreszczem i fontanną.

Ach, móc jak ty zdobywać jednym skokiem
Szczęście, co szumi w zgiełkliwym zachwycie,
Przekreślić słońce, niebo i obłoki
Genjalnym startem z trampoliny życia!

Elegja zakopiańska.

Już mi nic nie pomogą wielkomiejskie ulice
I alpaga gwieździsta na zimowem niebie;
Ja ciągle muszę wracać giewontskim księżycem
Do ciebie złota pani — do ciebie, do ciebie —

Nie pomogą już nawet upragnione listy
W których nigdy nie będzie zakopiańskich śniegów —
Wszak w słowach nie pomieścisz Doliny Strążyskiej
I pieszczot rozsypanych w Dolinie Białego —

O, świty różowawe na turniach i zboczach,
Szerokie i wiejące chustami złotemi —
O, zaspy brylantowe zamknięte w jej oczach —
Jakiemiż was słowami przyciągnąć do ziemi —

Jak się wtęsknić, jak wpatrzeć, by znów
wrócić do was —
Rozwiane i szkarłatne na mgłach i na niebie —
— Oto znów muszę wracać w nieporadnych słowach
Do ciebie złota pani — do ciebie — do ciebie. —

Noce biblijne

Modlitwa do mego Boga.

Ciebie Boże, ja kocham, Ciebie — bez oczu i twarzy,
Który wciąż szumisz nademną ogniem,
powietrzem i wodą —
Ciebie utajonego w świetle sobotnich lichtarzy,
O Boże matki mej cichej, która umarła młodo.

Już nie odejdę od Ciebie, bo z Tobą jest mi najlepiej:
W imieniu Twojem jest ziemia,
którą od wieków kocham —
Ciągniesz mnie wichrem za sobą
po rozjarzonem niebie
O Boże, dawnej wielkości i sławy rodzącej się
z prochów,

Tyś z skał synajskich zstąpił do małej,
kopcącej bóżnicy,
By razem z nami płakać nad babilońską rzeką,
O Boże starej mej ziemi, Boże ojczystych księżyców,
Przybliż żarliwym mym słowom ojczyznę daleką.

Dziadowie biblji.

Dziadowie moi!
tyle ciszy, tyle świateł, tyle drzew
zostawiliście w słowach waszych
oczom moim,
myślom moim,
słowom moim —

tyle dróg rozkwitłych w słońcu,
tyle ptaków rozśpiewanych —

Codzień
zapadam w cień oliwnych gajów —
Co wieczór
zbieram mannę gwiazd pod cyprysami —
i każdą ścieżkę znam
i cienie waszych stóp
oddechem moim wskrzeszam.

Dziadowie moi!
ta myśl:
że to wszystko było,
jest słońcem niebu mojemu,
jest deszczem moim polom.
wróciły żniwa na pola Galaadu
pobrzękują owce na pastwiskach En-Gedi
to będzie, to będzie,
tylko płakać nie wolno,
tylko oczy ku niebu wznieść
i iść,
iść
drogami rozkwitłemi w słońcu,
pod cieniem kojącym waszych słów.

Elegja o mowie hebrajskiej.

Pochylam się nad tobą mowo moja nieznana,
Jak nad głębią przeczutą skłębionej rzeki;
Z wody ciężkiej z wody ołowianej
patrzą ku mnie oczy proroka zamglone, dalekie.

Na zgasłe zwierciadła żrenic dawne wracają kolory
Płowej, gorącej ziemi, omszonej zielenią winnic;
Drogami rozjarzonemi miedzianem światłem wieczoru
Snują się w ciszy pogodnej biali ludzie biblijni.

O, mowo moja daleka, szumiąca
w przybytkach świątyń,
Płynąca z gajów oliwnych cichem,
łagodnem śpiewaniem—
Pachniesz i żarzysz się jeszcze
w kadzidłach dogasających.
W mroku wysokich ołtarzy, od których
odeszli kapłani —

Bo oto Adonaj zapala przyćmione światła gwiazd
I zmierzchem sypie na łąki, na mokre,
wysokie pastwiska—
Jak dobrze pasterzom hebrajskim w ciepły,
wieczorny czas,
Gdy Galil, Samarja i Hebron — tak blisko.

Jak dobrze im wiedzieć, że nocą,
gdy ziemia zapada w letarg,
Zdaleka na płaskim dachu pod niebem Jeruzalemu
Najurodziwszy z królów—rycerz,—mędrzec,—poeta
Słodkim, rzęsistym śpiewem sławi Judejską ziemię

Gdy świt zapali Hermon ogniem pierzastych obłoków,
Podpłynie pod namiot pasterzy,
ojczyzna szeroka i jasna—
I wolno im będzie pozdrowić
żywych prawdziwych proroków,
Idących miedzą czerwoną na służbę bożą—do miasta.

O, dobrzy, cisi pasterze, o biali ludzie biblijni,
Wy utajeni w gałęziach szerokich hebrajskich liter,
Pozwólcie iść w waszym cieniu mnie
walczącemu bezsilnie
Z urokiem piastowych słów, piastowych
nocy i świtów —

Zostańcie! — nie gubcie się oczom w rzeki
skłębionych mrokach,
Bo nie dosięgnę tej głębi, która mym ustom ucieka,
Tak smutno jest widzieć ojczyznę przez
zgasłe oczy proroka
I obcem przyzywać ją słowem i kochać
miłością daleką —

Spotkanie.

W zbożu brzęczy lato głosem pszczół —
Napełnione nocą, pachną kwiaty —
Z mroku przyjdzie młody, śniady król
O ramionach mocnych rosochatych.

Pójdę z nim ścieżyną w głąb gdzie staw
Księżycową łuską się roziskrzył:
W mroku srebrna woda pełna gwiazd
Cieniem chłodnie z drzew kosmate liście.

A, za wodą, za winnicą, za ogrodem,
Śpią wysokie łąki w cieniu borów;
Pod namiotem nieba pasie trzody
Siwowłosy ,ogorzały prorok.

Wiechy drzew rozczapierzonych się pochyłą,
Gdy nam powie słowy śpiewanemi:
Oto najwonniejsza noc Galilu
Słowikami otuliła ziemię.

Tak we troje na grzywiastych trawach
Będziem w ciszy oczekiwać dnia — —
Zasłuchani, zapatrzeni w światłość stawu;
Siwy prorok, śniady król — i ja.

Adam i Ewa.
(Fresk biblijny)

I

Niebo odpływało w przestrzenie wysokie,
Wichrem oderwane z nagiej żółtej ziemi;
Za niebem biegły w górę pierwszym pijane sokiem
Drzewa rozwichrzone liśćmi włochatemi.

Na rozczapierzonej z chmur olbrzymiej dłoni
Napłynęło słońce nabiegłe czerwienią—
Wiechy rosochate stanęły w płomieniu,
Złamane pierwszym cieniem na ziemi zdziwionej.

II

Otworzył oczy. Wstał. Z włochatych ramion
Odpadała w kawałach ciepła, tłusta glina —
Szedł do złotej wody krokiem ociężałym,
Ciałem rozpychając wilgotną wiklinę.

Zanurzał się powoli w pierwszem zamyśleniu,
Stopami wyczuwając żwir drażniący piasku —
Do oczu i nozdrzy napływało drżeniem
Powietrze nasycone żywicą i blaskiem.

Chciwie wsiąkała woda w kudły rozwichrzone —
Szczeciniaste, twarde, spalone gorącem,
Fale roznosiły na kołach zielonych
Spłukane z włosów żuki, motyle i chrząszcze.

III

Zamykał i otwierał orzeźwione oczy,
Rzucał się w wodę i od chłodu drżąc,
Wplatał palce w kędziory dymiące wilgocią —
Klepał się po lędźwiach spalonych na bronz.

Czarny świecący i śliski wychynął na brzeg;
Trwożliwie głaskał grzbiety zdziwionych jeleni —
Las go chwytał za włosy gałęźmi mokremi,
Gdy roześmiany i dziki w gąszcz drapieżną wbiegł.

IV

Drzewa miały swoje myśli, swoją mowę —
Puszcza zasypiała twardym snem —
Komuż się użalić Adamowi,
Gdy dopalał się na niebie pierwszy dzień.

Jeleń wprawdzie miał podobne oczy,
Ale nocą z ócz mu trysły ognie;
Rozdął nozdrza — zgiął się w łuk i — skoczył —
W las kosmaty za swą łanią pognał —

Gniazda kołysały się wysoko;
W gniazdach noc tuliła skrzydła ptakom —
Nikt nie słyszał jak w Edenie, w mroku
Pierwszy człowiek pierwszy raz zapłakał.

V

Konary ciemnych drzew splątane w gąszcz kosmatą,
Przelewały w ścisku konarów ciepłe, wzajemne soki—
Wszystkie zapachy ziemi, wszystkie kolory kwiatów
Płynęły rwącą strugą gałęźmi drżącemi w mroku.

W głąb przelewała się puszcza,
w gorące mroki uroczysk,
Gdzie spał zbłąkany Adam na falach mokrych traw —
A obok z wody i kwiatów stawały się usta i oczy;
W oczach odbiło się niebo, jak ciemny, głęboki staw.

A upał przepalał soki w ciepłą, czerwoną krew;
Powolnym ją wsączał strumieniem
w wiotkie łodygi ramion;
Zadrżały białe mięśnie, gdy chłodem po nich biegł
Wilgotny wiatr, co powiał nad suchą, zgrzaną polaną.

W otwierające się oczy wpłynęły cienie ogrodów,
Wiejąc krążkami słońca na białej rozwitej dłoni —
Pochylił się nad nią Adam, jak nad głęboką wodą,
Ani ogarnąć jej nie mógł, ani przemówić do niej.

VI

Jestem ciemnej puszczy tej owocem:
Z ognia, wody, z ziół i trawy,
Włosom moim połysk dały noce,
Oczom — głębię — wody zielonawe.

Tobiem jest od nocy tej przydaną —
Sama nie znam żadnych dróg w tej gąszczy —
Nie zostawiaj mnie nocami — samej
W mroku straszą węże i chrabąszcze.

Boję się, gdy burze drzewa łamią,
Szczerząc skośne kły błyskawic srogich —
Wielkie są konary twoich ramion
Mocne są w przegubach twoje nogi.

Więc mnie weź i razem pójdźmy dalej —
Wszak jeleniom są przydane łanie —
Odtąd w straszne noce razem będziem spali
Patrz — tam — w gąszczach — posłanie — —

Przymierze.

Świtami szkarłatnemi
Niech mnie ojczyzna owiewa —
Oto jest szum mojej ziemi,
Oto jest blask mego nieba.

Od ciężkich, ciepłych winnic,
Od gaju Mamre, od sadów
Niech w słodkie południa płynie
Najrzeczywistsza radość!

Bo oto jest chleb mojej ziemi
I wino moich owoców — —
Zmierzchami zielonemi
Znaczą swe przyjście — noce.

Dobra jest cisza i spokój
Pod cieniem własnego drzewa —
Wśród gwiazd rozsianych w mroku
Noc seraficzna śpiewa.

Z ojczyzną odnawiam przymierze
W noc pełną mistycznych znaków —
Na czoło kładą mi ręce
Abraham, Izak i Jakób.

Sen biblijny.

Blaskiem otwarły się bramy rozkołysanym polom;
Klaszcze w powietrzu wietrzyk i chłodem
wieńczy skroń;
Płonie w miedzianych kotłach słońca czerwony kolor,
Złotą potrząsa grzywą biały królewski koń.

Wybiegły czarne kobiety — w słońcu
chwiejące się palmy;
Porwał im włosy rozwiane, wysoki, pachnący wiatr.
Szeroko oplótł je dzień ramion uściskiem upalnym
I pocałunki czerwone na czarne wargi im kładł.

Cieniem się chwiały cyprysy na ulic
brunatnym piasku,
Brodaci rycerze wpadli w półmrok otwartych wrót—
Niebo spłynęło na ziemię rzeką gorących blasków
I zatopiło pijany, rozkołysany lud.

A gdy już wieczór ociekał słońcem i wonią migdałów,
Cisza wyrosła nad miastem, jak ciemny, głęboki las.
Usta się ustom podały, w czas gdy nad nocą dojrzałą
Jehowa przewalał po niebie bryły rozbitych gwiazd.

Sielanka.

Wezbrany wonią wieczór gra światłem nad łozą —
Niebo w postrzępionych odpływa obrazach —
Pozwólcie już odpocząć stękającym wozom —
O zostań cicha Ruto na polu Boaza.

Już mocniej pachnie siano przed idącą nocą —
Ciepła, rzeźka rosa opada na zboże —
Gdy się oczy Boaza winem rozochocą —
U nóg jego — w mroku — cicho się położysz.

Przyjdzie wielki, pogodny, roześmiany księżyc;
Wścibi głowę różową w cień olbrzymi stogu —
Nocą, rosą, księżycem łatwiej jest zwyciężyć
Gdy serca biją mocno i niema nikogo.

Wśród mokrych źdźbeł, wśród ziaren
słodkich chrzęstu,
Odnajdą drogę ręce spragnione a ciche —
Świt, splecionych ramion ogłosi zwycięstwo,
Wstrząsając rozżarzonym słonecznym kielichem.

Biblja na stole.

Na moim stole leży biblja;
w biblji szumią lasy cedrowe —
w ciepłej woni jej świateł
zmęczoną zanurzam głowę.

Na moim stole leży biblja;
jej krętemi, srebrnemi ulicami
można zajść na szczyt
i spotkać się oko w oko — z gwiazdami.

Kominy nie zasłaniają nieba,
tramwaje nie głuszą szumu drzew —
tylko wsluchać się, wsłuchać trzeba
w jej rzęsisty, daleki śpiew.

Wtedy do ust, do oczu, do rąk
przypływa niebo i ziemia —
późną wieczorną porą
smutek się w radość zmienia.

Na moim stole roją się miasta,
chwieją się drzewa, szumią wody —
zorza upiększa głazy na piaskach
emalją kolorowej pogody.

Na drzewach zakwita wieczór
najsoczystszym, najsłodszym owocem —
jak dobrze, jak dobrze być sobą
w bliskie biblijne noce.

Przyszła do mnie moja ojczyzna,
płynącemi przyszła obrazami —
obnoszę ją w moich wierszach
prostemi, rzewnemi słowami.

Droga na Nebo.

I.

Biedna matka Jochebed
Wykarmiła cię pod obcem niebem —
w egipskiej krainie — —
Nie jej się oczy nad tobą pochylą,
gdy opuszczony popłyniesz
zielonemi wodami Nilu;

w małej kolebce z drewna
egipska cię znajdzie królewna
i na łzy matki nie bacząc,
do strzelistego zabierze pałacu.
Pochylą się nad tobą nieznanym
skośnookie spojrzenia kapłanów

— Mnóstwo dni odda swe światło gwiazdom
pustynnych nocy,
Zanim dla prawdy bolesnej otworzą się twoje oczy.

II.

Wszystko zostało w Memphis. Dziś już niczego
mu nie żal;
Blask łusek, ciał i złota, jak potok po nim ściekł —
Wezbrany nocą Nil szlamem zalewa wybrzeża,
Rzucając tłusty piasek i zimne gwiazdy na brzeg.

Wszystko zostawił w Memphis; miłość swoją i piekło,
Ten ciężar cudzej męki, który mu piersi gniótł —
Oto ucieka do Midjan, gdzie mieszka stary Jetro
By zostać na górze Horeb pasterzem jego trzód.

Noc pachnie srebrną wodą, zalewa ślady kroków —
Cienie falistych piachów księżyc zagarnia pod blask—
O, prowadź nocy, w ciszę — w kraj jasnych
górskich obłoków,
Uspokój ciemnym chłodem pod niebem
ciepłem od gwiazd

III.

Dymiły misy mięsiw. Izba pachniała miodem:
U Jetra wszyscy czekali gościa z dalekiej ziemi —
Słodyczą ciężką nabrzmiałe szumiały ciepłe ogrody,
Gdy przyszedł Mojżesz — tułacz z stopami
pokrwawionemi.
Owiały go świty czerwone, wiejące wiechami palm —
Dzwoniły mu dzwonki baranków, pasących się
w słońcu na zboczach —
Wysokie górskie noce spływały z ciemnych hal — —
O świcie lato winnic kładło się złotem na oczach.

IV.

Lecz przyszła przyszła ta noc,
gdy nagie czerwone niebo
Zdarło wichurą namiot i siekło gradem gwiazd —
Ptakom paliły się skrzydła —
Bóg zatrząsł głazem Horebu —
Noc gryzła kłami błyskawic skulony, drżący las —

I nikt go nie mógł osłonić przed krzakiem
krzyczących płomieni —
Świt opadł z nieba na ziemię jak krwawy,
spalony liść — —
Na nic się zdała ucieczka — nic się już
nie da odmienić —
Gdy On przemówił burzą, trzeba i musi się iść — —

I tylko na zmiętych trawach smutna została skarga
Że nie mógł tej nocy wymodlić słowa
hardego jak grań —
Jakże mu mówić z królami, gdy słowa
seplenią na wargach
A ból i miłość jak morze napływa
i dławi mu krtań — — —

V.

Wiodły go świty dalekie, południa białe od skwaru —
Wieczory konały na piaskach,
czerwienią znacząc swój ślad — —
Szedł za nim w ciszy wyniosłej blady i smutny
brat Aron —
Długie skłębione ich włosy pustynny czesał im wiatr...

VI.

Oto na placach Ramzesa, nasiąkłych Hebrejów łzami
każe Pharao budować płowe kolosy piramid.

Z gorącej cegły, palonej na żarem ziejących piaskach
nie swoim bogom i królom dumne budują miiasta.

Ty ich ramionom zbolałym piekący odejmiesz ciężar,
by mogli wiecznie iść dalej, upadać i znowu zwyciężać.

Gdy noc się zielonym płomieniem na bladych
piaskach położy
zgarbionych niewolników posłusznem
wywiedziesz morzem —

Oddasz ich wiatrom pustyni, by hartu
nadały ich ciałom,
by mogli dumni i wielcy wrócić do kraju Kanaan —

A ty — gdy zorza wieczorna
pożarem zajmie niebo,
ostatni wieczór przeżyjesz na szczytach samotnych
Neba:

Z dalekich piasków napłynie rozwiana
fata-morgana,
przyniesie oczom twym gwiazdy odbite
w wodach Jordanu.

Wpatrzony w obraz płonący fosforem
drgających mroków,
uśniesz ciemnością objęty o, niepowrotny proroku.

Noce biblijne.

Zagubiłem się w twych czarnych słowach;
Trudno mi od ciebie odejść.
W nocy szumią twoją mroczną mową
Rozwichrzone winnice, kędzierzawe ogrody.

Stare drzewa porastają liściem świeżym,
Łąki falą kładą się zamgloną —
Witam was ogorzali pasterze
Z Galilei, z Samarji, z Saronu.

Jak bardzo pachnie ta ziemia,
Jak bliska jest sercu i oczom — —
Pozwólcie mi nocni pasterze
Przy was odpocząć.

Z gór spływa noc wysoka,
Noc najpiękniejsza w świecie —
Tobie ojczyzno proroków
Idę naprzeciw.

Ballada o pasterzu i Sulamicie.

Spłonęły winnice i cedrowe werandy,
Gdzie u stóp naszych księżyc srebrne kwiaty kładł:
Umarły nasze noce z muślinu i ambry —
Rozwiały się, rozpierzchły, jak dymy, jak wiatr.

Nie wyczekuj daremnie i nie patrz w seledyn,
Nakrapiany gwiazdami twoich barwnych snów,
Bo nigdy już nie wróci twój pasterz z En-Gedi,
By ci przynieść na wargach słodycz ognia i słów. —

O północy na zboczach Hermonu, wśród haszcz,
Gdym biegł do ciebie — smukły na zdyszanym koniu,
Zdarli ze mnie zbóje szmaragdowy płaszcz.
I koronę płonącą świtami ze skroni.

Z czemże teraz przyjdę do ciebie — ja król —
Jakże ciebie wezmę w shańbione ramiona —
— Kona dzień na czerwonych stokach Libanonu
I zostawia nam miłość, szarpiącą — jak ból...

Noc czerwonym płomieniem zagraża twym oczom,
Grom za gromem w pałace strzaskane uderza —
A niemam już namiotu, by ukryć cię nocą
Najpiękniejsza kochanko bezdomnego pasterza.

I niema już pachnącej, cedrowej werandy,
Gdzie u stóp naszych księżyc srebrne kwiaty kładł —
O, kiedyż wrócą noce z muślinu i ambry,
Białe śpiewne noce z przed tysięcy lat — —

Ballada o pasterzach Betleemskich.

Pod niebem oszronionem siną mgławicą gwiazd,
Ciepła leżała noc i srebrem zasnuła strzechy. —
Cóż to za jasna mgła, skąd ten jarzący blask —
Dziwili się światłu temu senni pasterze
z Beth-Lechem.

Więc zostawili na polu srebrne barany i konie,
Poszli ku miastu, co zdala chwiało się
w blaskach świec:
U bramy miejskiej centurjon hełmem
iskrzącym zadzwonił—
W mroku zajaśniał zygzakiem szeroki, rzymski miecz.

Rzucili hasło. Weszli. Cisza leżała na dachach,
Po których księżyc rozsypał siną, iskliwą sól —
I tylko młodzieńcy szeptali radością przejęci
i strachem:
Tej nocy urodził się w mieście nowy, judejski król.

Więc ruszyli pasterze do chałup, by ostrzyć
stare miecze —
W najgłębszym mroku czyścili tarcze przeżarte rdzą,
A w lichej stajence płakało biedne, hebrajskie dziecię—
Z kaganka sączyło się światło i jasność dawało łzom.

A gdy się noc podniosła, aż do najwyższych gwiazd,
Wybiegli pasterze na miasto, chrzęszcząc
mieczami i zbroją —
Wylęgły tłumy z bram, o niebo uderzył wrzask:
Pójdziemy za tobą królu, za ziemię walczyć twoją.

Więc pod mroczną się zeszli stajenką
młodzieńcy o dumnych głowach,
Po ciemnem, pachnącem powietrzu duch
Jeremiasza przelatał —
I nikt nie słyszał jak w mroku najsmutniejsze
płakały słowa:
Królestwo moje o bracia, nie z tego, nie z tego świata —

Namioty Izraela.

I.

Jak piękne są twoje namioty Izraelu,
bracie, ciągnący ulicą, zakurzony ładowny wóz;
na brodzie twojej zawisa szronu zastygłą bielą
ostry, kłujący mróz.

Jak piękne są twoje namioty Izraelu,
bracie, którym trakt wyboisty trzęsie,
bracie z Pawiej, z Nalewek, z Gęsiej,
handlujący mąką nieswojej ziemi,
bracie, który rękami drżącemi
świętych dotykasz rodałów;
to ty od wieków wielu
najsmutniejszą powtarzasz twarzą:
„Jak piękne są twoje namioty Izraelu!“

II.

A przecież niema nieba nad twoją pochyłą głową
i czworościenny twój namiot nie trzepoce
świeżością wichrów:
niebo nad tobą ucichło,
ale ziemia krzykiem zaprzecza twym słowom
i gna cię szlaków rozłożystych dalą
od miasta do miasta,
od ziemi do ziemi,
a ty słowami cichemi
chcesz zator uczynić falom
i śpiewasz jak zawsze od wieków wielu:
„Jak piękne są twoje namioty Izraelu!“

III.

Bracie siedzący w ciemnym sklepiku na Dzikiej,
bracie co wrastasz na rynku w ośnieżony,
pochyły stragan,
módl się wraz ze mną o wiosnę, o wielki
módl się huragan,
słowami cichemi jak szare, dalekie słowiki.

Bo wiosny nam trzeba, wiosny, wybawiającej od śniegu,
bo nieba naszego nam trzeba, jak chleba
powszedniego —
do twych przemarzłych nóg słowa się moje ścielą:
Jak smutne są nasze namioty, o bracie mój Izraelu.

Ballada o głupcach z Chełma.

Srodze się zatroskali chasydzi miasta Chełma,
bo oto się w chmurach brodatych ukryła
miedziana pełnia.
Rozkazał więc rabbi Issachar, wszystkie dziś
siły wytężyć,
by nocy tej wreszcie odnaleźć modlitwie
potrzebny księżyc.
Więc rozbiegli się po skośnych ulicach
i szukali księżyca — —
więc na krzywe wyłazili dachy,
wydłużali szyje
i w niebo patrzyli ze strachem,
gdzie były tylko gwiazdy.

Ktoś długi i chudy wykrztusił słowo: cmentarz;
sza! — — —
tam — czarne drzewa i groby wyklętych
straszą! — — —

A szamasz w rudą drapiąc się bródkę:
„a może księżyc się ukrył za starym
beth-hamidraszem?"
więc na palcach pocichutku
zmurszałą okrążali bóżnicę — —
ale nie było księżyca;
był mrok przylepiony do wąskich, wysokich okien.

A siwy, garbaty krawiec,
co mieszkał opodal:
„może jest w stawie!?
księżyc przecież lubi wodę!?"

lecz w stawie mokły obłoki — —

Wtem zadyszany bachur
z chełmskiego jeszybotu:
„jest! jest! — — w studni —
okrągły! — złoty — —

— W studni się ponoć utaił księżyc
w miedzianej pełni,
Więc w długich, czarnych kapotach
pokracznie wydętych na wichrze
Do starej studni na rynku idą chasydzi Chełma,
Świec trzepocące płomienie blademi dłońmi
nakrywszy.

Nad cembrowiną zarosłą mchem śliskim
i tłusto rudawym
Pochyliły się głowy brodate i oczy się wpiły
aż do dna —
Z warg śpiewnym szmerem spłynęły
wersety błogosławieństw
Do złotej wody, gdzie księżyc płaszczył się
w śmiechu pogodnym.

A po modlitwie — w obawie, by snać
im miesiąc nie uciekł,

mozoląc się srodze wtoczyli na studnię
ogromny kamień
i zacierając ręce,
podrygując i mrucząc,
rozbiegli się chyłkiem skośnemi ulicami.

A rano szedł rabbi Issachar z starszymi gminy
przez miasto,
na rynku piały koguty,
stały fury
i sprzedawano kury, jaja i masło.

Lecz jakież było zdziwienie światłych
chasydów z Chełma,
gdy odwalając kamień, studnię przygniatający,
znaleźli w wodzie —
miast księżycowej pełni —
— Słońce — —!

Wiersz smutny.

Tak trudno budować ojczyznę z słów
niewymyślnych, z niczego —
Daj mi mój stary Boże własne, najbliższe niebo;

Palmy nie dadzą słowom rozczapierzonych cieni —
i wiem, że nic nie pomogą, że nic się już
nie da odmienić.

Jak trudno w wierszu wymyśleć niebo dalekie i drzewa,
Gdy szumi za oknem i pluszcze polska jesienna ulewa.

Wróciłem z mokrej ulicy do pustego,
ciemnego pokoju —
I znów napadły mnie słowa zamglone jak oczy moje.

I trudno przez nie patrzeć i trudno przez nie widzieć;
Po Smoczej, smutnej ulicy chodzą zgarbieni Żydzi.

Tak trudno uwierzyć dziwom słów Ezechiela, Amosa,
Że ongiś wiatry pachnące przewalały się po kłosach.

Tak trudno poddać oczy najradośniejszym kłamstwom,
Że po jasnem, po bujnem polu chodził
bronzowy Samson.

O stary, piękny Boże, co władasz słowem jak ziemią,
Zaczaruj mnie, zasnuj całego cienistem,
palmowem marzeniem.

Nie pomogą okna zasnute, nie pomogą
światła przyćmione,
To nie wozy Dawida dudnią, to tramwaje,
tramwaje czerwone.

To nie grzmoty puzonów, nie płomień trzepocący
w półmroku ołtarza —
To tylko słowa, słowa, które w ciemności powtarzam.

Ballada o złotym cielcu.

I.

Kłębi się morze za nami w ciemności:
Z szumem się kładzie grzywa fal spieniona —
Oto noc naszej sławy i naszej wolności
Zatopiła swym mrokiem wozy Faraona.

O prowadź nas swą mocą straszliwy proroku
Ty, co węże z czerwonych dobywasz płomieni —
Oto noc już odpływa jeziorem obłoków
I słońce się na piaskach świtaniem rumieni.

II.

Długa jest nasza droga: nie widać wody, ni drzew —
Nieba gorący przestwór jarzy się białą pożogą;
Kto wróci oczom sen, kto uspokoi gniew — —
O drogo nasza nieznana, niedocieczona drogo — —

I nad czemż dumacie kapłani, głowy
na dłoniach oparłszy — —
Wszak w piasku niema Boga: Bóg ponoć
w niebie jest —
Ku niemu, ku niemu zwróćcie oczy pokorne i starcze:
On ponoć lubi oczy zmęczone, czerwone od łez — —

Dla nas na niebie jest tarcza wrzącej, parzącej miedzi,
Dłoniom niedocieczona płonie i sen odbiera — —
W jakież pójdziemy strony i kto nas dalej powiedzie,
Gdy Bóg ukryty w słońcu każe nam schnąć i umierać

III.

Wlecz nas nocą i dniem, tłum nasz krzyk,
grzmij i duś!
Niech się sępy nad nami chmurami rozwieszą:
Nie ulękniem się gniewu twojego, ni groźb —
My wody chcemy, wody, daj wodę Mojżeszu!
Na placach Ozyrysa syciliśmy głód
Misami mięsiw, konwiami wina —
Tyś nas zwiódł!
Twoja to wina.

IV.

Nie patrz na nas zielenią tajemną swych oczu:
Dłoniom naszym wzniesionym siła odpływa jak krew
Cóż począć?
Do kogo mamy wołać głosem zmęczonym,
Gdy padamy jak kłody spalonych drzew — —
Nie wódź nas płonącemi drogami pustyni:
My nie chcemy umierać na piaskach!
Któż z nas zawinił,
Że odbierasz oczom bezsennym
Obraz ziemi obiecanej,
Wschodzącej w świtu jaspisowych blaskach.

V.

O twórzmy nocą głęboką, niedocieczoną
Zanim się pożar nieba nad nami otworzy —
Twórzmy z szmaragdów i złota
Oczy i usta boże — —

Co niebo oczom ukrywa,
Staje się jawne oczom —
Dłoń gwiazdy niebu odrywa
Niedocieczoną nocą.

Dłoń słońcu blask odbiera
I w chłodny brylant wpala —
Moc nocą czarną przybiera
I rozpacz oddala.

VI.

Świt wstrząsa grzywą słoneczną
nad piasków burą czerwienią
Głośmy uśpionym namiotom,
że zstamił z nieba Bóg —
Oto jest złoty cielec cały w połyskach kamieni,
Oto jest rozwiązanie naszych splątanych dróg.

Bóg nasz ma oczy z brylantów
i chłodny uśmiech księżyca;
Niewiasto, pokłon daj Bogu, kapłani bijcie w gong!
Oczom się naszym objawia straszliwych
snów tajemnica,
Pieśćmy ją lepkim dotykiem czarnych,
spoconych rąk.

Poetom ziemi walczącej.

I.

Tobie noce, żywe, noce płonące
szumią nad głową —
oddechem gorącym,
pasją szkarłatną —
ojczystem je wdychasz słowem.

Nieba gorące światło masz w oczach
i ziemi głęboki zapach
na wargach —

W świątynię zamieniasz poddasze
okwitłe mchem zielonym —
wskrzeszasz królestwo nasze
słowem szalonem!

Tobie sława —

młodzieńcy na stadjonach ojczyzny
mówić będą wierszami twojemi,
córki Jeruzalemu wieńcem ocienią twą głowę
na wolnej hebrajskiej ziemi,
w wolnej hebrajskiej mowie.

II.

Nie wiem czy jeszcze pamiętasz
śnieżne zachody polarne
i rzewne noce zimowe,
noce czarne.

Kopcą jeszcze na stołach pochyłych
dogasające świece — —
grzeją się jeszcze starcy brodaci
pod piecem — —

szeleszczą pożółkłe foljały
mądrości naszej —
te same te same śniegi
uginają krzywe poddasze —

te same, te same słowa
odpadają od warg jak liście —
rzewnym, śpiewnym głosem
pozdrawiają cię nocą
zapomniani, bladzi talmudyści.

III.

Pod cieniem wysokim murów, w półmroku
dusznych oficyn
Nikt naszej męki nie śpiewa, nikt naszych
buntów nie liczy —

Siedzimy w ciemnych kramikach wciśnięci
w szare wykusze,
Rzucamy grosze i serca do małych,
niebieskich puszek —

Z koliska spraw codziennych rwiemy się myślą do was,
Z gazet łowimy codzień niepokojące słowa —

A każde wasze zwycięstwo szumi nad nami i płonie —
Przez sen powtarzamy nazwy waszych
dalekich kolonij.

IV.

Ręce pełne słońca wznosicie ku niebu
Skąd blaski wam na usta upadają — słowem —
Jak łatwo składać wiersze pod cieniem Horebu,
Gdy wieczór się dopala nad lasem cedrowym.

Mnie trudno do was mówić tą północną mową,
Do was o słoneczni, hebrajscy poeci —
Lecz idę wam tem słabem niewymyślnem słowem,
Pełen smutku cichego i żalu — naprzeciw.

Bo któż uwierzy mojej miłości szalonej
I wierszom mym poczętym w tęsknocie i gniewie — —
O świadcz Ty za mnie słowem jak morze wzburzonem,
Pocto djaspory — JEHUDO HALEWI!

Ojczyzna, której nie widziałem.

Choć nie wiem jakie na niebie twem wschodzą kolory
i jaki zapach ma chleb dobyty z twej ziemi,
przyzywam cię w dalekie, samotne wieczory
słowami smutnemi.

Nie wiem nawet jak szumi deszcz
wśród twoich drzew i chat —
a przecież tam się zaczyna i kończy mój świat,
a przecież czuję twą woń i wilgoć twoich traw;
ziemio nieznana a przeczuwana,
zbliż mnie do siebie i zbaw.

Bo na źrenic moich zwierciadła
noc twoja kiedyś upadła,
jak zielony, pachnący cień —
a t[illegible]z z głębi powraca szumem, wonią, kolorem;
w słonecznem rozkołysaniu
drzew, śpiewów, nieba i traw — —
ziemio nieznana a przeczuwana
zbliż mnie do siebie i zbaw.

Matki i siostry hebrajskie.

Matki, siostry i kochanki nasze
czekają wieczorami na przyzbach
zmierzchających chat

wracają rycerze hebrajscy z pola,
spoceni, spracowani
pługi zapadają w cień,
kosy złoci gasnąca zorza

tyle było pracy w dzień,
tyle trzeba było zwozić zboża

przypadają rycerze hebrajscy
do ciepłych miłujących rąk —

dobrze jest na własnej ziemi
w zmierzchającym zapachu rozśpiewanych łąk.

piękna jest noc — —
wielki, gwiaździsty jest świat,
gdy matki i siostry hebrajskie
czekają na ojczystych przyzbach
zmierzchających chat.

Miłujmy się...

Miłujmy się pod niebem pełnem zieleni i śpiewów —
dorodni rycerze hebrajscy odjęli dłonie od pługów — —
pokłońmy się nocy wysokiej, rozchwianym
pokłońmy się drzewom —
księżyc płynie po ścieżkach długą, iskliwą smugą.

Pójdźmy na pole nasze, na łąki rozkołysane —
pocałunkami siejmy miłość żarliwą i młodą —
o gwiazdy, gwiazdy kochane — —
o łąko, o wodo — — —

Jak cicho...

Jak cicho...
śpi biała, młoda ziemia nasza
tej nocy można na polu
spotkać proroka Eljasza.

Tej nocy wplątanej w rozgwar dostałych kłosów
chodzi po łąkach Mojżesz
radośnie i boso —

bo to żyto i jęczmień kwitnący
równie jest święty,
jak ongiś — ów krzak gorejący.

Kołysanka.

Będzie trakt malowany słońcem, będzie wieś
kolorowa i cicha —
Pójdziemy, pójdziemy tą drogą do Samarji,
Hebronu, Jerycha.

Będą drzewa szerokie i szorstkie, będą
migdały cyprysy — —
Szumią gałęzie, szumią coraz bliżej i ciszej.

Zamknijmy oczy i patrzmy: ciągną złotawe
wielbłądy, —
Morzem płyniemy gwiaździstem, dalekim
tęsknimy lądem.

Zamknijmy oczy w tym mroku, ściśnijmy
mocniej powieki;
Duże, błękitne gwiazdy wpadają do ciemnej rzeki.

Rosną bielone w słońcu, wiatrem wydęte namioty —
O, ziemio niedocieczona, o, zmierzchu brunatno-złoty.

Pojechał ojciec nasz silny, pojechał do Tel-Awiw —
Połóżmy się ciemni i smukli na mokrej
pachnącej trawie.

Grają pastusze fujarki, ciszę grają i spokój —
Jak blisko przepływa niebo nakrapiane
czerwienią obłoków

Dzień się otwiera niebieski, ojczysty i rzeczywisty —
Napiszemy dzisiaj do Polski pogodne wesołe listy.

Napiszemy o krowach, o pługu, o wierzbach,
wierzbach dalekich,
Tylko mocniej, mocniej ściśnijmy ociężałe
marzeniem powieki.

Elegja do ziemi polskiej.

Dałaś mi chleb Twój i spokój, dałaś mi niebo
nad głową —
Z jodeł Twych miałem kołyskę, z lip Twoich
mieć będę trumnę —
A przecież nie Ciebie śpiewam Twojem
urodnem słowem
Ojczyzno nie moja, a droga—ziemio, na której umrę.

Widzę Cię nocą za oknem w gwiazd Twoich
świetle łagodnem
Jak pasem ciemnych zagonów cienie faliste
przerzucasz —
Ty oczom moim wybaczysz, że się oderwać nie mogły
Od innej, dalekiej ziemi, do której może — nie wrócę.

I przyjmiesz w siebie łaskawa, utulisz
śniegiem cmentarnym
Jak dziadów moich przyjęłaś, jak braci
jeszcze przyjmiesz,
Pomnąc, że ongiś wygnańców pod skrzydła
swoje przygarnął
Twój wielki, mądry gospodarz, twój
dobry król Kazimierz.

Ziemio...

Dlaczego masz wiosny, których nie zapomnę,
Dlaczego masz halne, woniejące lata —
Patrz, chodzę pijany podziwem ogromnym,
Bo mnie czar twój najsłodszem brzemieniem przygniata.

Krew moja pełna twoich sadów śpiewem,
Szumi jak Wisła — zachwyceniem zdrowa —
I doprawdy, że szczęściem zachłyśnięty — nie wiem.
jakby moją radość roztrzepotać w słowa.

Nie miej takich nocy upalnych gwiazdami!
Moje oczy upite mrużą się i — boją,
Bo gdy kiedyś mnie krasą twych świtów omamisz,
Gotów wyć jestem z bólu, że nie jesteś — moją!

Dwie ojczyzny.

Ojczyzny dwie — dwie ziemie i dwa nieba
Dał sercu los w wędrówce pokutniczej —
A jedną tylko, jedną wybrać trzeba,
Na hardy trud, na dumne, ciężkie życie.

Ja wiem, że w Galilei — nowe wiosny
Rodzą się w znoju rąk, jak w czas posuchy — liście;
W biblijne noce słodkie i miłosne
Dojrzewa młoda jesień — cud szalonych ziszczeń.

Lecz chociaż nocą wzywa głos Jeremiad,
Czyni mnie rośny świt pastuszym grajkiem —
Dała mi słodycz słów piastowska ziemia
I małe, polskie niezapominajki.

Lecz wiem, że pójdę, że zbuduję chatę białą,
Gdzie obok winnic będzie polski klon wyrastał;
Gdybym wpadł w rozchwiej wspomnień oszalałą,
Niech przejdzie nocą cień białego Piasta.

Ballada o życiu i śmierci Jehudy Halevy'ego.

1.

Wieczorze, pal się w szklenicy tysiącem kolorów,
tysiącem płomieni.
Nic się już we mnie nie zmieni.

Dziewczyno, choć włosów twych woń półmrokiem
mnie ciepłym upiła
Odejdę, odejdę od ciebie o wiecznych,
o własnych siłach.

Słodyczą ocieka noc jak usta, jak pomarańcze.
Wiatr, Wisła, Tajo i Ganges w źrenicach
zmęczonych tańczy.

Wiatr, wiosła, księżyc i słowik nie zbawi i nie pomoże;
Odejdź dziewczyno zielona, odejdź czerwony wieczorze.

Przyjdą o świcie kobiety o obcych, dalekich dłoniach—
Pojadą, pojadą mężczyźni na czarnych,
spienionych koniach —

Zejdą kolory w chmurach, rozwłóczą się
światłem po niebie
I tylko wiecznie trwać będzie krwawiąca droga —
do Ciebie.

I tylko wiecznie na ustach słowo zostanie słowem
I szumieć będą groźnie noce, noce cedrowe.

2.

Wsłuchaj się dobrze w te słowa wzburzone
bezładne i dzikie;
Teraz w waszych gajach zanoszą się śpiewem słowiki,

Teraz na waszych łąkach wilgotna narasta zieleń
I Bóg wasz pełen miłości w każdym mieszka kościele.

Wsłuchaj się dalej dziewczyno, z słów tych
nie wolno szydzić,
Bo widzisz moja mała, tacy jak ja to Żydzi —

A Żyd — to drogi, drogi, dalekie zawiane drogi
Od starych skrzypiących kołysek — do starych,
pochyłych mogił,

Od mogił słowiańskich, zielonych przez Rzym,
U. S. A. do Algieru,
To stopy spłaszczone Chaplina obrzmiałe,
przyrosłe do skwerów,

Onuce — trust — giełda i morze, oko,
co słońca nie widzi
Nie bój się moja mała — to Żydzi, to Żydzi, to Żydzi.

3.

Strumienie słonecznych przestrzeni nie spłuczą
tego imienia,
Które mi wszeptał Jehowa — groźny niebieski Bóg—
Słowami memi znaczona kwitnie świetlista ziemia,
Na wszystkich drogach są ślady moich
zmęczonych nóg.

Nie chcę grać na dzisiejszym koncercie.
Skrzypce utopię w mroku,
I słów żadnych nie chcę.
O n a jest we mnie, o n a jest naokół.

Ona jest w księżycowej strudze
I w szeleście waszych drzew —
Odbierzcie, odbierzcie odemnie
Ten dziki, targający śpiew.

Frak rozpostarł skrzydła jak nietoperz —
Dajcie turban, dajcie konia, niech mnie wichr
w ciemności gna — —
Jedno tylko zbawić może od przeklętej tej tęsknoty:
Pęd. Szum. Szał!

4.

Senorito, pozwól odejść smutnemu poecie:
Niech rozwłóczę gorzki smutek po świecie
Niech wyśpiewam, niech wygram i niech
wsączę w kolor
Mrok głęboki mych oczu, co bolą.

Senorito w atłasowych trzewiczkach,
Senorito o brunatnych policzkach,
Weźmiesz męża z haciendy, zdrowe mieć
będziesz dzieci
A zapomnisz o smutnym, zabłąkanym,
hebrajskim poecie.

5.

Noc chodzi cicho i srebrnie po mlecznych,
zawiłych drogach.
Blisko jest sercu do ziemi, blisko jest oczom do Boga.

Księżyc zawisł, jak łampa na pochylonem drzewie,
Przypadł ustami do ziemi smutny poeta Halewi.

Przywarł do suchej grudy, zaciąga się wonią opiłą —
Zabiło serce ziemi — jak kiedyś, jak kiedyś — zabiło!

Nabrzmiały grudy wilgocią, nabiegły wonią głęboką,
W mgłach rozpostarte anioły przelatywały wysoko —
Wiały skrzydłami nad głową, zwijały wichry jak szale,
Złociło się w mroku śpiewało wśród gwiazd
i wśród palm Jeruzalem

I wszystko, wszystko zrozumiał i o nic
już więcej nie pytał —
Nad głową dudniły mu w mroku — kopyta,
kopyta, kopyta. .

TREŚĆ.

I. POWRÓT DO DOMU.

II. W NIEBO WKWITŁY GAŁĘZIE...

III. NOCE BIBLIJNE.